

Stopnie naukowe za wdrożenia

Przygotowany przez MNiSW i przyjęty przez Radę Ministrów program pn. Doktoraty wdrożeniowe wywołuje w środowisku akademickim szereg istotnych zastrzeżeń. Świadczą o tym m.in. negatywne opinie niektórych rad wydziałów mojej uczelni. W ich uzasadnieniu wskazuje się na to, że może on stanowić otwarcie dodatkowej furtki do szerzenia się uznaniowości oraz jeszcze innych akademickich patologii. Nie takie są oczywiście oczekiwania autorów tego programu.

Stanowisko MNiSW

Odpowiedzi na pytanie, jakie są związane z nim oczekiwania MNiSW, udzielił wiceminister nauki Piotr Dardziński. W świetle jego wypowiedzi (z 31 stycznia b.r.) chodzi po pierwsze o „wykształcenie badaczy nowej generacji”, po drugie „ożywienie współpracy między środowiskiem naukowym a społeczno-gospodarczym, a także usprawnienie transferu wiedzy między nauką i biznesem”, po trzecie stworzenie „szybkiej ścieżki dojścia do pierwszego stopnia naukowego”, po czwarte „rozwiązywanie konkretnych problemów wskazanych przez pracodawców”, po piąte „korzyści finansowe” zarówno dla doktorantów (w formie stypendium MNiSW), jak i dla uczelni (w formie „otrzymania ze środków finansowych programu dofinansowania kosztów wykorzystania infrastruktury badawczej”). Chodzi również o to, że po uzyskaniu doktoratu wdrożeniowego „doktorzy będą mogli kontynuować wdrożeniową ścieżkę kariery i uzyskać uprawnienia równoważne uprawnieniom wynikającym z posiadania stopnia doktora habilitowanego”. Te ministerialne oczekiwania imponują nie tylko swoją śmiałością w wychodzeniu poza dotychczasowe ścieżki kariery naukowej, lecz także swoją wiarą w to, że za pomocą stosunkowo prostych rozwiązań oraz relatywnie niewielkich środków finansowych (w projekcie ustawy z 19 stycznia b.r. o zmianie ustawy o stopniach naukowych wskazuje się na maksymalny limit wydatków z budżetu państwa na ten cel w najbliższych 10 latach), będzie można skutecznie zaradzić temu niedomaganiu polskiej nauki, które określone zostało przez wiceministra jako niezadawalający „poziom współpracy między sektorem nauki a biznesem”.

Daleki jestem od próby deprecjonowania tego pomysłu. Nie tylko dlatego, że wymienione wyżej rozpoznanie słabości polskiej nauki uznaję za trafne, ale także dlatego, że obecnie istniejące w Polsce ścieżki dochodzenia do doktoratów uważam za niedostatecznie selektywne w wyłanianiu tych, którzy mogą coś istotnego wnieść do nauki. To, że co roku tak liczna grupa osób uzyskuje stopnie doktorskie, świadczy nie o prawdziwym urodzaju naukowych talentów w naszym kraju, lecz o nieszczelnościach obowiązującego obecnie systemu awansów naukowych, a także o determinacji sporej części tych, którym mimo braku owego talentu udaje się jakoś „przezołgać” (o własnych siłach lub przy wydatnej pomocy promotora i przyjaciół) do stopnia doktora i doktora habilitowanego. Odpowiedź na pytanie, skąd się bierze ich determinacja, może stanowić interesujący przyczynek do dyskusji nad możliwością generowania nie tylko autentycznych uczonych wdrożeniowców, ale również takich osób, które niewiele wspólnego będą mieli zarówno z nauką, jak i z istotnymi dla gospodarki wdrożeniami, a uzyskane przez nich stopnie naukowe będą mniej więcej tyle warte, ile były warte gwiazdki oficerskie na czapce tych, z których „nie matura, lecz chęć szczerą” zrobiła oficera. Jest to jednak tylko jeden z możliwych scenariuszy realizacji „doktoratów wdrożeniowych”, tj. scenariusz pesymistyczny. Nie można jednak również wykluczyć scenariusza optymistycznego.

Scenariusz optymistyczny

Odwołam się tutaj do zapisów wspomnianego wyżej projektu ustawy o zmianie ustawy o stopniach naukowych i tytule naukowym (zakładam, że zostanie on przyjęty przez parlament bez poważniej-

szych zmian). Nie będę jednak referował jej wszystkich artykułów i punktów. Zwrócę jedynie uwagę na te z nich, w których określa się warunki, jakie muszą być bezwzględnie spełnione, aby nowa ścieżka kariery naukowej przyniosła coś dobrego dla polskiej nauki oraz polskiej gospodarki. Należy do nich w pierwszej kolejności wyłonienie właściwej grupy doktorantów oraz ich promotorów i (ewentualnie) promotorów pomocniczych. W zapisach ustawy mówi się, że taka rozprawa doktorska stanowi „oryginalne rozwiązanie w zakresie zastosowania wyników **własnych badań naukowych** (podkr. Z.D.) w sferze gospodarczej lub społecznej”. Oznacza to, że zarówno jej autor, jak i jej promotor i (ewentualnie) promotor pomocniczy orientuje się nie tylko w stanie badań w tej dyscyplinie naukowej, w której ma być nadany stopień doktora, ale także w potrzebach tej sfery gospodarczej lub społecznej, w których te wyniki zostają wdrożone i – co nie mniej istotne – potrafią oni odróżnić wdrożenia pozorne od faktycznych. Czy jest to możliwe? Zapewne tak. Jest to jednak dosyć trudne – zwłaszcza w dyscyplinach, które mają stosunkowo nieduże doświadczenia we współpracy z gospodarką. Promotor pomocniczy, który „posiada co najmniej pięcioletnie doświadczenie w działalności badawczo-rozwojowej lub znaczące osiągnięcia w zakresie opracowania i wdrożenia w sferze gospodarczej lub społecznej oryginalnego rozwiązania projektowego, konstrukcyjnego, technologicznego lub artystycznego o ponadlokalnym zakresie oraz trwałym uniwersalnym charakterze”, może być oczywiście tutaj pomocny. Jednak po pierwsze jego doświadczenie musi się dosyć wyraźnie łączyć z problematyką wdrożeniowego doktoratu, a po drugie nie będzie się obawiał, że osoba, z którą się nim podzieli, za jakiś czas nie okaże się jego poważnym konkurentem w działalności badawczo-rozwojowej lub wdrożeniowej. A takiej gwarancji raczej nikt mu nie da.

Nie jest to jednak koniec trudności związanych z realizacją tej ścieżki kariery naukowej. W zapisach projektu ustawy mówi się bowiem również, że „osoba, która uzyskała stopień doktora w Rzeczypospolitej Polskiej lub za granicą i posiada co najmniej pięcioletnie doświadczenie w prowadzeniu działalności badawczo-rozwojowej oraz znaczące osiągnięcia w zakresie opracowania i wdrożenia w sferze gospodarczej lub społecznej oryginalnego rozwiązania projektowego, konstrukcyjnego, technologicznego lub artystycznego o ponadlokalnym zakresie oraz trwałym i uniwersalnym charakterze, zatrudniona w jednostce organizacyjnej posiadającej uprawnienia do nadawania stopnia doktora habilitowanego, nabywa uprawnienia równoważne uprawnieniom wynikającym z posiadania stopnia doktora habilitowanego na podstawie decyzji: rektora (...), dyrektora instytutu naukowego Polskiej Akademii Nauk (...), dyrektora instytutu badawczego”.

Można przyjąć, że chodzi tutaj o osoby, które przez co najmniej pięć lat zdobywały swoje doświadczenie zawodowe w innych jednostkach niż ta, która posiada uprawnienia habilitacyjne. Zapisy te nie wykluczają jednak możliwości ubiegania się o „uprawnienia równoważne uprawnieniom wynikającym z posiadania stopnia doktora habilitowanego” przez osoby, których podstawowym miejscem pracy przez cały okres aktywności zawodowej była wyższa uczelnia lub instytut naukowy PAN, a swoje doświadczenie w działalności badawczo-rozwojowej zdobywały przy okazji np. udziału w realizacji tego rodzaju grantów wdrożeniowych. Nie wykluczają one również osób, które uzyskały doktorat nie za wdrożenia, lecz za postawienie i rozwiązanie jakiegoś teoretycznego problemu, a dopiero w kolejnym etapie swojej zawodowej aktywności zainteresowały się jego wdrażaniem. Szczególnie trudne i odpowiedzialne zadanie w podjęciu właściwych decyzji o nadaniu tych uprawnień będą mieli rektorzy wyższych uczelni i dyrektorzy instytutów, w których działalność badawczo-rozwojowa i wdrożeniowa (jak np. w uczelniach artystycznych) ma charakter drugoplanowy lub marginalny. Można oczywiście zakładać, że będą oni korzystali przy podejmowaniu decyzji z pomocy osób, które posiadają odpowiednie kompetencje. Ale czy w tej sytuacji ich funkcja nie będzie dekoracyjna? Miało jednak być optymistycznie, a nie pesymistycznie.

Scenariusz pesymistyczny

Scenariusz ten nakreślę, odwołując się nie tylko do zapisów projektu ustawy, lecz także do swoich obserwacji i doświadczeń wyniesionych z ponad 40-letniego funkcjonowania w środowisku akademickim, w tym ponad 20-letniego stażu jako profesora tytularnego, oraz recenzenta w wielu postępowaniach o nadanie stopni doktorskich i tytułu profesora. Pierwsze z moich spostrzeżeń nie ma jednak ani optymistycznego, ani pesymistycznego charakteru. Ma ono natomiast charakter filozoficzny (jest to w końcu główny obszar mojej zawodowej aktywności). Sprowadza się ono bowiem do stwierdze-

nia, że zarówno w procedurach awansowych, jak i w wielu innych związanych z funkcjonowaniem środowiska akademickiego, decydującą rolę odkrywają nie regulacje prawne, lecz tzw. czynnik ludzki (przepraszam z góry tych, którzy czują się urażeni takim określeniem). „Czynnik” ten jest czasami bardziej, a czasami mniej doskonały niż wyobrażali i wyobrażają to sobie różnego rodzaju prawodawcy. Jednak w sytuacjach, w których regulacje prawne stają się przeszkodą na drodze do realizacji jego aspiracji i marzeń, manifestuje on niejednokrotnie swoją obecność zdolnością do ich pokonywania „drogą na skróty” – jeśli tak można powiedzieć o postępowaniu, które z pozoru wygląda na trzymanie się tych regulacji (ale tylko tak to wygląda).

Różnie to oczywiście jest realizowane w różnych dziedzinach i dyscyplinach naukowych. W tych, które zwykło się nazywać „miękkimi” (należą do nich nie tylko dyscypliny artystyczne, ale także spora część społecznych), kryteria naukowości są znacznie trudniejsze do wskazania niż w tzw. twardych naukach, a ich wyegzekwowanie w procedurach awansowych niekiedy wręcz graniczy z cudem – nie tylko zresztą w doktoratach, ale także w niejednej dzisiejszej habilitacji. Rzecz jasna, występujące w dotychczasowych wymogach awansowych takie sformułowania, jak „znaczący dorobek naukowy”, „oryginalne rozwiązanie problemu naukowego” czy „oryginalne dokonanie artystyczne”, to nie są słowa magiczne. Jednak gdyby promotorzy i recenzenci w każdym przypadku brali je dosłownie czy też z całym rygoryzmem, to mogłoby dojść do prawdziwej „rzezi niewiniątek” wśród osób ubiegających się o stopień naukowy doktora lub doktora habilitowanego. W projekcie zmian ustawy o stopniach naukowych repertuar tego rodzaju oczekiwań zostaje wzbogacony o wymaganie od tych osób „znaczącego osiągnięcia w zakresie opracowania i wdrożenia w sferze gospodarczej lub społecznej oryginalnego rozwiązania projektowego, konstrukcyjnego, technologicznego lub artystycznego **o ponadlokalnym zakresie oraz trwałym i uniwersalnym charakterze** (podkr. Z.D.).

Rzecz jasna nie twierdzę, że w żadnej dziedzinie czy dyscyplinie nie ma możliwości spełnienia tych wymagań bez daleko idącej wyrozumiałości i zyczliwości ze strony promotorów i recenzentów doktoratów wdrożeniowych. Przeciwnie, skłonny jestem twierdzić, że są takie, w których od dawna stawia się na oryginalność, ponadlokalność i uniwersalność. Moim zdaniem należą do nich nauki o sztuce. Jednak nie tylko one, również niektóre dyscypliny związane z turystyką, hotelarstwem czy kulturą fizyczną. W swoim czasie spore zdumienie u jednych i rozbawienie u innych wywołał doktorat na temat gry w palanta. Nie jestem do końca przekonany, że tego typu „osiągnięcia” należą do niechlubnej przeszłości. Skłonny jestem nawet zaryzykować tezę, że pojawienie się możliwości uzyskania doktoratu za wdrożenia może stanowić zachętę do myślenia: „dlaczego nie za badanie i wdrożenie gry w palanta” (lub podobnej wagi problemu). Traktuję to oczywiście jako swoistą metaforę. Rzecz jasna, nie chciałbym, aby stała się ona rzeczywistością, z którą przyjdzie nam w środowisku akademickim przez wiele lat żyć i współżyć (co najwyżej kontestując jej obecność).

Kilka ogólnych sugestii

Spróbuję na koniec sformułować kilka sugestii, które być może będą przydatne w praktycznej realizacji doktoratów wdrożeniowych. Pierwsza z nich dotyczy rekrutowania kandydatów do tego przedsięwzięcia. Kuszenie ich „stypendiami w wysokości minimalnego wynagrodzenia zasadniczego asystenta”, wypłacanymi z ministerialnych funduszy, ma pewien sens. Tyle tylko że dla autentycznych pasjonatów badań naukowych może to być co najwyżej dodatkowy argument, a w każdym razie nie taki, który sprawi, że będą oni skłonni podporządkować swoje życie pozazawodowe uzyskaniu takiego doktoratu. Może ono natomiast stanowić poważny argument dla tych, którzy stawiają na życiowy sukces mierzony wysokością dochodów, wygodą życia lub przynajmniej przedłużeniem studiów doktorskich młodzieńczej beztróski. Niestety dzisiaj łatwiej znaleźć tych drugich niż tych pierwszych. Jeśli jednak program ma odnieść autentyczny sukces, to trzeba podjąć trud znalezienia takich doktorantów, którzy przynajmniej „na dzień dobry” nie będą pytali, „ile za to dostanę”.

Druga sugestia dotyczy „zastosowań wyników własnych badań naukowych w sferze gospodarczej lub społecznej”. Zapewne można znaleźć takie badania naukowe, o których z pełnym przekonaniem powiemy, że są własne, oraz takie zastosowania, których wartość da się określić stosunkowo łatwo. Należą one jednak raczej do rzadkości, a jeśli już występują częściej, to z reguły nie spełniają wymogu „ponadlokalności, trwałości i uniwersalności”. O tym, które z nich faktycznie spełniają te wymagania, zwykle nie da się rozstrzygnąć w stosunkowo krótkim czasie – zwłaszcza w takich dyscyplinach, które

znajdują się na wysokim poziomie rozwoju i posiłkują się teoriami tak wyrafinowanymi, że niełatwo je pojąć nie tylko tzw. zwykłym śmiertelnikom, ale także tym „wdrożeńcom”, którzy mają jako takie obycie naukowe. Tak było m.in. ze szczególną i uogólnioną teorią względności A. Einsteina. Rzecz jasna nie każdy w nauce może być Einsteinem i nie od każdego należy oczekiwać tego rodzaju wdrożeń, jakie miały jego teorie. Jednak od tych, którzy będą realizowali doktoraty wdrożeniowe, można, a być może nawet należy, wymagać korzystania z doświadczeń i osiągnięć tych, których teorie sprawiają, że nauka zasadniczo różni się od wiedzy potocznej, oraz takich wdrożeń, które będą istotnie różniły się od wdrażania przykładowej gry w palanta. Natomiast od tych, którzy będą oceniali „wkład własny doktoranta”, należy oczekiwać zarówno znajomości tych teorii, jak umiejętności odróżnienia wdrożeń istotnych od mało istotnych. Jedno i drugie jest dosyć trudne. Trzeba jednak przyznać, że nikt nie obiecuje, że praktyczna realizacja doktoratów wdrożeniowych będzie łatwym przedsięwzięciem.

Trzecia i ostatnia sugestia związana jest ze sprawowaniem ministerialnego nadzoru nad realizacją tego programu. Rzecz jasna byłoby to dużo prostsze, gdyby „Minister właściwy do spraw szkolnictwa wyższego określił, w drodze rozporządzenia” nie tylko kwestie, o których się mówi w pkt. 4, art. 201 ust. 1 projektu zmiany ustawy (lista ta liczy 6 pozycji), ale także wskazał jednostki naukowe, które mają stosunkowo najbardziej znaczące osiągnięcia naukowe i wdrożeniowe. Jednak przynajmniej w tym przypadku to, co najprostsze, nie jest najlepsze. Oznaczałoby to bowiem nie tylko powrót do centralnego sterowania, ale także ograniczanie tych autonomii środowiska akademickiego, bez których nie mogłoby ono właściwie realizować swoich społecznych zadań. Wszystkie podmioty uczestniczące w życiu naukowym zobowiązane są jednak do sporządzania corocznych sprawozdań z wykorzystania przyznanych im przez MNiSW środków finansowych na realizację określonych zadań. Mam nadzieję, że nikt się nie obrazi, jeśli zgłoszę sugestię, aby sprawozdania z wykorzystania przez jednostkę naukową przyznanych jej środków na realizację doktoratu wdrożeniowego nie sprawdzać jedynie pod kątem formalnej zgodności z programem, ale także realiów, jak chociażby doprowadzenia do obrony takiego doktoratu. To ostatnie jest kłopotliwe już w doktoratach tradycyjnych (przede wszystkim z uwagi na stosunkowo niską efektywność studiów doktoranckich), a w doktoratach po nowemu może się okazać jeszcze trudniejsze (m.in. z uwagi na ich hybrydalny charakter). Jestem jednak w stanie sobie wyobrazić sytuację, że zarówno przy tych pierwszych, jak i drugich osoba pobierająca stypendium zostanie zobowiązana do jego zwrotu w przypadku niezrealizowania zadania, którego się podjęła, oraz – co nie mniej istotne – rektor lub dyrektor instytutu badawczego potrafi to faktycznie wyegzekwować.